Biblioteka Instytutu Badań Literackich
P. II 376

Wydawnictwa rok VI
Dnia 6 maja 1928 r.

Nr 244

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Poradnia zawodowa jako czynnik w wychowaniu

NIEDYSKRECJE:

„GŁOS PRAWDY LITERACKI"

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Admisintracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

http://rcin.org.pl

NIEDYSKRECJE

KILKU ZABITYCH, KILKUDZIESIĘCIU CIĘŻKO, KILKUSET LŻEJ RANNYCH. W biały dzień, pod okiem władz, w sercu stolicy. Tak uczczono w Warszawie 1 maja, święto pracy, które na całem niemal świecie przeszło w spokoju, w poważnem skupieniu, bez zakłócenia porządku publicznego.

Jest coś potwornego w tych krwawych rzeziach od kilku lat powtarzających się perjodycznie, co 1 maja na ulicach naszego miasta, niby jakieś uświęcone tradycją i zalegalizowane prawo zwyczajowe, danina krwi składana na ołtarzu... ale czego? Chyba tylko anarchji społecznej. Jeżeli chodzi o walkę z komunizmem, to krewcy milicjanci P. P. S., ćwiczący się na Pl. Teatralnym w strzelaniu salwami do tłumu, działając, jak twierdzą, w samoobronie przed prowokacją, ze strony manifestantów komunistycznych, nie są do tego powołani. Samosąd jest objawem barbarzyństwa, którego żadne państwo cywilizowane nie może tolerować. I u nas musi być położony temu raz na zawsze kres. Troskę o walkę z komunizmem mogą ci, posługujący się brauningami „obrońcy demokracji parlamentarnej" spokojnie pozostawić władzom bezpieczeństwa. Ich miarowe salwy do likwidacji komunizmu się nie przyczynią. Jest rzeczą charakterystyczną, że panowie z „Robotnika" nie zdobyli się choćby na słowo potępienia swej „bojówki", która przelała tyle krwi niewinnej, I jeszcze jedno: Trzy czwarte ofiar strzelaniny na Placu Teatralnym, to robotnicy żydowscy. Jak opowiadają naoczni świadkowie, bojówkarze partji, która tak pochopnie zarzuca innym antysemityzm, wyładowywali swą waleczność z największym zapałem w kierunku „mniejszości narodowej". „Krwawy wtorek" majowy winien stać się groźnem ostrzeżeniem na przyszłość. Nie przesądzając w zasadzie prawa do publicznych demonstracyj w dniu 1 maja, stwierdzić należy, że jest coś wyższego ponad to prawo, a mianowicie—bezpieczeństwo życia obywateli. Tragiczne doświadczenia lat ostatnich dowiodły, że organizatorzy pochodów 1 maja, za bezpieczeństwo to ręczyć nie mogą. Jest więc rzeczą władz wyciągnąć z tego odpowiednie konsekwencje i albo ograniczyć manifestacje do lokalów zamkniętych, albo też otaczać pochody uliczne gęstym kordonem policji, jak w podobnych wypadkach ma miejsce zagranicą.

**
*

NIEMCY SĄ PIERWSZEM Z PIĘCIU MOCARSTW, które zaakceptowały amerykański projekt wyrzeczenia się wojny. W odpowiedzi swej na notę Kelloga, min. Stresemann wyraża opinję, iż propozycja amerykańska w niczem nie koliduje z obowiązkami członków Ligi Narodów, ani też z uczestnikami paktów lokarneńskich. Stanowisko to znajduje się w djametralnej sprzeczności z poglądami rządu francuskiego, aczkolwiek ujęte jest w formę bardzo zręczną i pełną kurtuazji dla Brianda. Prasa francuska nie odrzuca a limine noty Stresemanna, stwierdzając, iż otwiera ona drogę do dalszej dyskusji. W tym sensie mniej więcej wypowiada się również prasa angielska. Odgrywają tu rolę nie tyle względy natury zasadniczej, ile obawa przed narażeniem sobie Stanów Zjednoczonych. W inicjatywie amerykańskiej pragną widzieć mocarstwa Europy zerwanie St. Zjednoczonych z dotychczasową polityką izolacyjną, w przeświadczeniu, że odbudowa powojenna świata nie jest możliwa bez udziału Ameryki. Dlatego też, pomimo wielkiego sceptycyzmu w stosunku do konkretnych walorów projektu amerykańskiego, państwa zachodnie unikają wszystkiego, co mogłoby doprowadzić do jego przedwczesnego fiaska. Jaki będzie dalszy rozwój dyskusji dyplomatycznej na ten temat — trudno przewidzieć. Ale jedno jest pewne. Gdyby miała ona zakończyć się uzgodnieniem koncepcji amerykańskiej i francuskiej — w przeciwnym razie żaden pakt na tym gruncie nie da się osiągnąć — „wyrzeczenie się wojny" będzie opatrzone takiemi zastrzeżeniami, że nie posunie to wiele naprzód dotychczasowych wysiłków w kierunku zwalczania wojny za pomocą uchwał międzynarodowych. Nowy pakt pokojowy wielkich mocarstw byłby w tym wypadku conajwyżej tylko uzupełnieniem Corenantu Ligi Narodów. Czy da to impuls do rozbrojenia, na które kładzie nacisk nota niemiecka, pozostaje rzeczą bardzo wątpliwą. Nas obchodzi tu bliżej inna sprawa, a mianowicie, kwestja przystąpienia do projektu Kelloga innych pństw, nie należących do grupy wielkich mocarstw. Jak zareagują Niemcy na udział Polski w pakcie z inicjatywy amerykańskiej? Czy i wtedy trwać będą w swym entuzjazmie dla projektu Kelloga i, wyrzekając się wojny, wyrzekną się ostatecznie wojen o zmianę granic wschodnich?

**
*

ZATARG POMIĘDZY ANGLJĄ A EGIPTEM nie został bynajmniej załagodzony chwilową ustępliwością rządu egipskiego pod naciskiem ultimatum Anglji. Ostatnia faza tego zadawnionego konfliktu powstała na tle wniesionej do parlamentu egipskiego ustawy o zgromadzeniach, przeciw którym Anglja zaprotestowała, dopatrując się w nich niebezpieczeństwa dla interesów angielskich i wogóle cudzoziemskich w Egipcie. Lecz Egipt jest państwem niepodległem i nie pozwala sobie dyktować praw przez obce mocarstwa. Argument siły — było nim wysłanie floty angielskiej z Malty na wody Egiptu — na razie poskutkował. Rząd Nahas Paszy, aby uniknąć starcia w nierównej walce, zdecydował się odroczyć dyskusję nad wspomnianą ustawą do jesieni. Chamberlain oświadczył jednak w parlamencie, że zwłoka ta sprawy nie rozwiązuje. To znaczy, że przy ponownej próbie Egiptu nadania tej ustawie mocy obowiązującej, pancerniki angielskie zjawią się powtórnie u wybrzeży egipskich. Anglja liczy na to, że obecny rząd w Kairze ustąpi i do władzy dojdą żywioły ugodowe. Znajdujący się pod wpływem Anglji król Fuad po raz szósty usiłował skłonić Nahas Paszę do dymisji — bezskutecznie. Partja nacjonalistyczna — Wafd — rozporządza większością w parlamencie egipskim. Leaderem jej jest właśnie Nahas Pasza, spadkobierca ideowy Zaghlula Paszy. Cały niemal naród jest po jego stronie. Dlatego też trudno przypuścić, by bez użycia siły, czego znów Anglja pragnęłaby uniknąć, uda się znaleść w konflikcie anglo-egipskim jakieś wyjście kompromisowe.

CZYTAJCIE „GŁOS PRAWDY"

http://rcin.org.pl

WYBÓR ZAWODU A WYCHOWANIE

Profesor uniwersytetu wiedeńskiego, Max Adler którego Oskar Lange w Przeglądzie Współczesnym[1]) nazywa jednym z najgłębszych i najsubtelniejszych umysłów, jakim się dzisiaj może poszczycić szkoła marxizmu, wydaje teraz cały szereg prac, poświęconych wychowaniu i rozwojowi teraźniejszego młodego pokolenia. Do ciekawszych i aktualniejszych książek tego cyklu[2]) należy rozprawa D-ra Anny Siemsen, prof. uniwers. w Jenie, traktująca zagadnienie wyboru zawodu w związku z wychowaniem dzisiejszej młodzieży. W przedmowie stwierdza autorka, że to zagdnienie w dzisiejszych warunkach nie da się ostatecznie rozwiązać, ponieważ nie można go odłączyć od całokształtu zawikłanych stosunków społecznych. Przez postawienie tego problematu wyboru zawodu chciałaby S. wykazać z jednej strony wychowawcom jak rozwój i kształtowanie młodzieży jest zależne od gospodarczych stosunków społecznych, oraz, z drugiej strony, podkreślić społeczne znaczenie wychowania wobec ekonomistów i polityków.

Pierwsza część książki przedstawia krótki rys historyczny wychowania młodzieży w zależności od zmian, zachodzących w życiu społeczeństw. We wszelakim czasie ludzkość zwracała uwagę na swoje młode pokolenie i starała się dla utrzymania ciągłości swego życia i swoich ideałów wszczepiać młodzieży te ideje i przekonania, które sama posiadała i w które wierzyła. Prądy i kierunki, nurtujące społeczeństwa w różnych epokach historycznych, odbijały się zawsze i w dziedzinie wychowania.

Więc, w czasach pierwotnych wychowanie i wprowadzenie do życia praktycznego pełniła rodzina, otoczenie i naśladownictwo.

Długotrwały ustrój stanowy wszystkich narodów europejskich wprowadził do życia nowe ideały, wysunął naprzód uprzywilejowanych, tworząc nowe kierunki i treści w wychowaniu, z których korzystali wybrani. Z biegiem czasu, kiedy rozwój stosunków społecznych, politycznych i gospodarczych zaczyna się przeciwstawiać dotychczasowemu ustrojowi społecznemu, i w dziedzinie wychowania następuje moment doniosłego przełomu. Najwięksi wyraziciele nowych prądów w społeczeństwie stają się twórcami teoryj pedagogicznych, które uwzględniły nietylko potrzeby współczesnych, ale sięgnęły swym wpływem nawet do dzisiaj.

Wielki filozof angielski, John Locke, w swoich doniosłych reformach wychowawczych uwzględnił tylko przedstawiciel stanu szlacheckiego, — Rousseau, zdecydowany przeciwnik współczesnego mu porządku społecznego, przeniósł swego bohatera na łono natury poza formy znanego mu życia: teorje ich jednak mają do dziś tę wartość, że wysunęły na pierwszy plan w wychowaniu uwzględnianie rozwoju i praw młodocianej jednostki ludzkiej. Dalszy bieg stosunków społecznych 18 w. i początków 19-go stulecia — to okres rozbicia ustroju stanowego i uznania praw człowieka niezależnie od jego pochodzenia. Literalne hasła wolności dla wszystkich dają jednostce swobodę w wybieraniu sobie zajęcia i obowiązków. Zagadnienie zawodu, obieranego przez jednostkę, zgodnie z jej zdolnościami i usposobieniem, staje się aktualnem od chwili trjumfu haseł liberalizmu. W poprzednim ustroju stanowym zajęcie ludzkie było z góry wyznaczone przez należenie do tego, lub innego stanu, dopiero żądanie wolności dla wszystkich i zrównanie stanów pomiędzy sobą wysunęło w wychowaniu—uznanie praw człowieka i pod względem wybierania sobie odpowiedniej drogi życia. Jednakże rozwój gospodarczy społeczeństw i nowe formy bytu, wytworzone przez ten rozwój, zmieniły warunki życia, a jednocześnie i poglądy na sprawę wyboru zawodu. Przemysł, wzrastający dzisiaj do olbrzymich rozmiarów, stając się jedną z naczelnych funkcyj życia społecznego, wpłynął na przesunięcie punktu ciężkości od praw jednostki do wysunięcia praw zbiorowości ludzkiej. Stan robotniczy, nowa warstwa społeczna, której egzystencja zależną jest od wielu b. skomplikowanych warunków gospodarczych zaczyna się przeciwstawiać indywidualistycznemu liberalizmowi, sprzyjającemu pogarszaniu się stosunków społecznych. Nadmiernie wybujały indywidualizm musi się cofać wobec coraz wyraźniej występujących roszczeń zbiorowości ludzkiej. I w wychowaniu młodzieży utrwala się przekonanie, że interesy jednostki muszą się podporządkować potrzebom społecznym.

Jeżeli w dawniejszem społeczeństwie stanowem pochodzenie mówiło o stanowisku i zajęciach człowieka, to dzisiaj — obrany zawód określa pozycję socjalną. Stąd nasuwają się autorce zagadnienia następujące: czy, naogół, wykonywanie zawodu harmonizuje z rozwojem i z uznaniem praw współczesnego człowieka—oraz, jak można pogodzić swobodę i prawa osobiste z prawami społecznemi?

Uprzywilejowane klasy społeczne rozwiązują do dziś dnia zagadnienia wyboru zawodu na podstawie dewnych haseł liberalizmu, głoszących równe prawa dla wszystkich ludzi, których wychowanie i praca jednoczą w sobie pożytek jednostki i społeczeństwa. W tej koncepcji jednak człowiek ujmowany jest jako abstrakcja: poza czasem i miejscem w którem żyje, dlatego też łańcuch rozumowania staje się z konieczności nierealnym.

Rzeczywistość staje w coraz wyraźniejszej sprzeczności z takiemi postulatami: zwłaszcza uwydatnia się to jaskrawo w życiu klasy robotniczej. Autorka zarzuca całemu szkolnictwu 19 w., że ono przerabiało tylko materjał zdobyty w czasach poprzednich, że, zarówno na polu teorji, jako i praktyki pedagogicznej, urzeczywistniało hasła dawniejsze i dlatego zatraciło kontakt z rzeczywistością. Kierunek rozwoju gospodarczego i ekonomicznego ludzkości nie został uwzględniony przez wychowanie: niemiecka szkoła

[1]) Przegląd Współczesny. Kraków Marzec 1928. Oskar Lange „Źródło i tło historyczne ideologji E. Abramowskiego".

[2]) Schriftenreihe „Neue Menschen" herausgegeben von Dr. prof. Max Adler, Anna Siemsen „Beruf und Erziehung". C. Laub'sche Verlagsbuchhandlung G. m. b. H. Berlin W. 30.

http://rcin.org.pl

przedwojenna według słów S. to — najwyżej dostarczycielka świadectw, pomocnych w robieniu karjery życiowej.

Poezja i literatura piękna należą do tych dziedzin życia ludzkiego, które są echem różnorodnych stron, przeżywanej współcześnie rzeczywistości. Posząwszy od pierwotnych mitów, aż do powieści 19-go i 20 w. w.: wszędzie znajdujemy odbicie warunków bytu ludzkiego, współczesnego z danym utworem. Autorka za pomocą całego szeregu powieści z ostatniego stulecia ilustruje kierunek rozwoju stosunków społecznych aż do dnia dzisiejszego.

Typowym bohaterem powieści w początkach 19-go stulecia jest człowiek niezwiązany żadnem zajęciem, poszukujący przygód wśród różnych okoliczności, następnie, poprzez apoteozę życia rodzinnego i pracy zawodowej dochodzimy do ostatnich powieściopisarzy proletarjatu, jak London, Gorkij, Upton Sinclair i inni, którzy stawiają przed czytelnikiem nowe zagadnienia społeczne.

Statystyczne zestawienia, jakie Siemsen podaje w dalszym ciągu swej pracy, przedstawiają zaostrzenie się problemu wyboru zawodu w dzisiejszem społeczeństwie. Cały wiek 19-sty to przejście od przeważającej produkcji rolnej do produkcji przemysłowej, od rękodzielnictwa do wytwórczości maszynowej. Wynalazki techniczne umożliwiają coraz to głębiej sięgającą specjalizację pracy, a szalony przewrót, jaki został dokonany w sposobach komunikacji, pochłonął odległości i wpłynął na upodatnienie międzynarodowych warunków życia. Oczywiście, że uprzemysłowienie różnych krajów zależne jest od wielu warunków lokalnych, jednakże dane obejmujące rozwój wielkich centrów przemysłowych i zanik drobnych warsztatów pracy, oraz dane, stwierdzające spadek ilości pracowników samodzielnych, odpowiadają ogólnemu rozwojowi przemysłowemu.

Siemsen podaje liczby zestawione w Niemczech w r. 1895 i w 1907.

	1895 r.	*1907 r.*
Ilość ludności	51.034 591	60.940 163
Ilość robotników w przemyśle .	71,8%	76,4%
Ilość robotników w rolnictwie .	67,9%	73,7%
Ilość robotn. w handlu i komun.	52,8%	56,4%

% robotników obliczony jest w stosunku do ogólnej ilości pracowników w każdej gałęzi).

W tym samym czasie potroiła się ilość robotników wielkiego przemysłu, podczas kiedy, pomimo znacznego przyrostu ludności, ilość pracowników w małych warsztatach została ta sama. Wszystkie te liczby dość wymownie świadczą o kierunku rozwoju stosunków społecznych. Od roku 1907, według przypuszczeń autorki, nastąpiło powiększenie się ilości zależnych gospodarczo od konjunktur przemysłu i handlu.

Jak widać z wyżej przytoczonych liczb życie większości stało się niesamodzielne, jednostronniejsze, zajęcie bardziej wyspecjalizowane, podstawy egzystencji podległe przypadkowi, niepewne i zależne od stanu rynku pracy.

W tych warunkach nie może dzisiejszy proletarjat widzieć treści życiowej w wykonywanym przez siebie zawodzie. Skazany na zależność od chwilowej konjunktury, wykonywując czynności mechaniczne, nie znając nawet często ich celu i nie mając wpływu na jakość wykonanej pracy, — zatraca człowiek zainteresowanie dla swego zajęcia, widząc w niem tylko jego stronę zarobkową.

Omawiając dalej ustosunkowanie się burżuazji niemieckiej do swych zajęć zawodowych — twierdzi Siemsen, że i ta klasa społeczna w dzisiejszych warunkach widzi w wykonywanym przez siebie zawodzie przeważnie tylko źródło dochodu. Pierwiastki wewnętrznego zainteresowania się swoją pracą, oraz osiąganego z niej zadowolenia spotyka się tylko u b. nielicznych: większość, ulegając przymusowi, lub też dobrowolnie, uważa zajęcie swoje tylko za środek pomocny do stoczenia mniej lub bardziej zwycięskiej walki o byt pomiędzy ludźmi. Śmiało też można stwierdzić, że naogół, dzisiejsza praca zarobkowa nie da się pogodzić z rozwojem jednostki w najszerszym znaczeniu tego wyrazu. Nie znajdując w swej pracy zadowolenia, ani wartości tworzą sobie zbiorowości ludzkie treści życiowe z zadań i obowiązków, wynikających ze zrzeszeń zawodowych. Wielkie liczebnie grupy społeczne istniejące w jednakowych warunkach życiowych, stwierdziły doświadczalnie, że siła ich tkwi w zrzeszaniu się. W solidarności klasowej znalazł robotnik zabezpieczenie swej egzystencji i źródło wielu praw ochronnych, które go bronią przed wyzyskiem. Ta sama solidarność stała się zaczątkiem szerokiego poczucia wspólności mas i dąży dzisiaj do ujednostajnienia swej działalności poprzez różne kraje i narody. Nietylko proletarjat robotniczy został objęty tym ruchem społecznym: fale tego ruchu rozchodzą się wszędzie, gdzie tylko dotarła zbiorowa praca ludzka. Poczucie solidarności stało się siłą, która się zwycięsko przeciwstawia dawniejszemu indywidualizmowi.

Oddzielne rozdziały poświęca S. dzisiejszym metodom pracy. Z niechęcią mówi o takiej racjonalizacji zajęć, która dba tylko o potanienie produkcji, stawiając na drugim planie bezpieczeństwo i samopoczucie robotnika. Również niechętnie wyraża się o selekcji, dokonywanej przez wielkie zakłady przemysłowe za pomocą badań psychotechnicznych. Jeżeli badania te z jednej strony mają tę dobrą stronę, że chcą uwzględniać rzeczywiste właściwości indywidualne przy wyborze zawodu, to z drugiej strony, przesiewając dla pracodawcy materjał ludzki, zabierają najlepszych, pozostawiając najsłabszych na pastwę losu.

Z kolei omawia dalej autorka zagadnienie poradnictwa zawodowego, któremu przypisuje w dzisiejszych warunkach wartość tylko o tyle, o ile działalność porady łączy się ze szkołą i z życiem gospodarczem. Współczesny wychowawca i nauczyciel młodzieży musi opierać kształtowanie swych wychowańców na poznaniu ich cech indywidualnych. Ta sama znajomość odrębności osobniczych powinna być pomocną i przy skierowywaniu młodzieńca do właściwego dlań zawodu. Porada zawodowa stać się powinna ogniwem pośredniem, ułatwiającem przejście z ławy szkolnej do życia praktycznego.

Jadwiga Zawirska.

http://rcin.org.pl

KAMIENIOŁOMY

Niezmiernie ciekawym przyczynkiem dla stosunków naszych jest historja kamieniołomów tatrzańskich. Oto jej osnowa.

Wiadomą jest rzeczą, że zapis ś. p. Władysława Zamoyskiego przekazał znaczną część Tatr polskich na park narodowy, którego utrzymanie spadło oczywiście na zarząd fundacji Kórnickiej. Rzecz oczywista, że fundacja musiała rozejrzeć się za poważnemi źródłami dochodu. I oto został podpisany układ pomiędzy przedstawicielem jej z jednej strony, z drugiej zaś reprezentantami państwowej rady ochrony przyrody i Towarzystwa Tatrzańskiego, mocą którego, część regli została przeznaczona na cele przemysłowe, dla urządzenia kamieniołomów przedewszystkiem. Nie potrzebujemy dowodzić, że układ ten miał znaczenie nie tylko lokalne. Kamieniołomów w Polsce brak. Ogromną ilość kamienia brukowego, budowlanego, a nawet szutrowego sprowadzamy co rok z zagranicy, a nowy kamieniołom mógł dostarczyć materjału obrobionego tyle, co wszystkie polskie przedsiębiorstwa tego rodzaju razem wzięte.

Fundacja zawarła też niebawem odpowiednią umowę z przedsiębiorcą, p. Kiejnowskim, i przystąpiono do stworzenia kamieniołomu na części Krokwi, pod Capkami. Głaz tatrzański, jaki tam znaleziono jest istotnie znakomitym materjałem. Kamieniołomy znalazły powszechne uznanie i dostały odrazu znaczną ilość zamówień.

I było zrazu cicho — rzecz całą uznano za naturalną i dobrą.

Nieszczęście chciało, że gdy w związku z powszechną wystawą krajową, która ma się odbyć w roku przyszłym w Poznaniu, przyszło do składania ofert na kostkę kamienną, kostka z kamieniołomu pod Capkami pobiła konkurencję niemiecką i czeską i nasz kamieniołom dostał całe zamówienie. Wtedy rozpętała się burza. Powstał krzyk: Zamknąć kamieniołomy. Rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa.

I oto zaczyna się dobieranie argumentów. Niestety, wpływy nawskroś konkurencyjne dotarły nawet do niektórych sfer Towarzystwa Tatrzańskiego, którego ostatni zjazd delegatów, nawet nie podejrzewając, czyim narzędziem się staje, wyniósł rezolucję wprost zdumiewającą w swej naiwności i uderzającą całym szeregiem niesłychanych sprzeczności wewnętrznych. Punktem wyjścia jest ochrona przyrody. Ale oczywiście zapomniano, że na tej samej Krokwi wzniesiono ohydną, rażącą, widoczną ze stron wszystkich odskocznię narciarską, że takim samym trybem oszpecono Jaworzynkę. Wtedy względy na ochronę przyrody roli nie odgrywały. Ale dalej mamy ostatecznie zgodę na eksploatację kamienia. Ale powolną, żeby z czasem Zakopanemu nie zabrakło. Więc szpecić przyrodę wolno — ale jedynie dla samego Zakopanego — nigdy dla Polski. I dalej. Jeżeli naprawdę ochrona przyrody w tem miejscu jest rzeczą ważną — przecież w interesie tej samej ochrony jest jaknajprędzej skończyć z eksploatacją i nie rozciągać jej na okres jaknajdłuższy.

Ale w rezolucji wspomnianej są jeszcze ciekawsze momenty. Można eksploatować, powiada ona, ale siłami miejscowej ludności. Nie należy sprowadzać robotników z zewnątrz, bo to grozi zakłóceniem porządku publicznego i... czystości rysy góralskiej. Pierwszy wzgląd jest wprost skandaliczny. Jest to potwarz rzucona w twarz naszemu robotnikowi. Jest to z drugiej strony fałsz. Człowiek pracujący ciężko nigdy nie bywa groźny dla porządku publicznego. I, o ile wiemy policja zakopiańska znacznie mniej ma kłopotu z żywiołem robotniczym niż z autochtonami, a i samymi pp. letnikami. Wzgląd na „czystość rasy“ jest już zgoła komiczny. Poprostu ze względu na przyzwoitość trudno jest na to odpowiadać. Więc nie boją się szanowni panowie sprowadzać kuracjuszów, letników, owej istotnie próżnującej warstwy — ta według nich nie psuje rasy. Ale za to groźny jest dla tej rasy robotnik kamieniołomów.

Daliśmy próbkę tylko logiki tej przedziwnej rezolucji z którą pewne osobistości wybierają się do władz, z którą — rzecz zdumiewająca — dostały się do młodzieży uniwersyteckiej w Poznaniu, z którą próbują obnosić się po prasie. Bezrobocie, bilans handlowy, niecierpiące zwłoki potrzeby drożnictwa w całej Polsce — wszystko staje przeciw tym argumentom — ale to wszystko idzie w kąt — to wszystko nic nie znaczy — ważniejsza jest jakaś Krokiew i tak już zeszpecona, pod którą najbezsensowniej w świecie podsuwają się wille stawiane po za zasięgiem promieni słonecznych bez sensu i planu. Ale o Krokwi opowiadają ci co istotnie nie wiedzą co czynią. Prym w całej tej sprawie wiodą z jednej strony dostawcy niemieckiego i czeskiego kamienia z drugiej zaś spekulanci gruntowi, którzy pchają Zakopane w najbardziej zacienioną stronę. Wiedzą oni, że za parę miesięcy opinja zrozumie, że okolica ta niema przyszłości i chcą sprzedać tu grunta po wyśrubowanej cenie. Kamieniołom stoi im na przeszkodzie. Więc huzia na kamieniołom.

I tylko dziwić się należy, że instytucja poważna, społeczna idzie na rękę tym względom. Trzeba krytyczniej i konsekwentniej patrzeć na fakty, panowie. Krzyk podjęty około kamieniołomu pod Capkami nie pozostaje jednak bez echa. Niestety ostatnio nawet władze administracyjne pozwoliły sobie na zamknięcie paru odkrywek nowych. Mamy nadzieję, że czynniki wyżej postawione, a zwłaszcza, zainteresowane tą sprawą bezpośrednio ministerstwo robót publicznych zapobiegnie na przyszłość tego rodzaju praktykom.

A. Uziembło

GROCH O ŚCIANĘ

Wraz z niepodległością uzyskaliśmy szczęśliwie dostęp do morza, do własnego morza i zabraliśmy się z dość dużą energją do zamienienia małej wsi rybackiej na wielki nowoczesny port, powstający w Gdyni, daliśmy początek własnej flocie han-

http://rcin.org.pl

dlowej, zajętej wywożeniem z kraju węgla, z czego bardzo jesteśmy dumni, jakkolwiek obawiam się, że gdyby to nie był węgiel górnośląski, znajdujący się w rękach niemieckich, tobyśmy może tej ruchliwości w eksporcie naszych bogactw naturalnych w tej mierze dotąd nie wykazali.

Polski przemysł produkujący nie tylko na rynek wewnętrzny i potrzebujący coraz więcej rynków zewnętrznych odnosi się do tego tak kapitalnego zagadnienia z podziwu godną obojętnością, trzymając się niewzruszenie zdala od morza i wywozu swych produktów na tej drodze, mimo, iż najmniejszej nie ulega wątpliwości, że tylko drogą morską polski eksport na wielką skalę rozwinąć i ugruntować można.

Dnia 28 kwietnia odbyło się walne doroczne zebranie „Towarzystwa Popierania Polskiej Ekspansji Zamorskiej", na które przyszło w drugim terminie całych pięciu członków, którzy po przyjemnej pogawędce de omnibus rebus et de quibusdam aliis rozeszli się w przykrym nastroju, wywołanym przeświadczeniem, że całej doniosłości i wagi zagadnienia polskiej ekspansji zamorskiej całkowicie nie rozumieją ci właśnie, w których bezpośrednim interesie ekspansja ta jak najrychlej powstać i rozwijać się powinna.

Prasa stołeczna, szczególniej pewnego odłamu, wszczęła alarm na temat naszego ujemnego bilansu handlowego ciesząc się w cichości ducha, że w swem przekonaniu znalazła temat do ujadania na rządy pomajowe, których wielkie powodzenie na wszystkich niemal polach naszego życia gospodarczego i politycznego nie daje spokojnie spać tym, którzyby, odznaczając się sami całkowitą bezpłodnością, pragnęli ująć ster spraw publicznych we własne nieudolne dłonie. Ale ta sama prasa nie rozumie, że, chcąc zyskać czynny bilans handlowy trzeba przyłożyć rękę do eksportu na wielką skalę i pracować nad naszą ekspansją zamorską, nad zdobyciem obcych rynków, wyzyskując korzystne konjuktury, jakie niewątpliwie w tej chwili panują.

Wszelkie wysiłki garstki ludzi dobrej woli, zmierzających do pokonania tej rozpaczliwej inercji, nie odnoszą żadnego skutku. Wszystkie nawoływania do zapoczątkowania bliskiej ekspansji zamorskiej są, jak groch rzucony o ścianę. Próby stworzenia w tym kierunku krzepkiej inicjatywy społecznej nie wydają, jak dotąd, najmniejszych wyników. Cóż z tego, że rząd pomajowy stworzył tak celową instytucję, jak „Instytut Eksportowy", że kreował szereg nowych konsulatów wybitnie handlowych, że poszedłby na rękę polskiej ekspansji zamorskiej w swej polityce flotowej, kiedy nasz przemysł niezdolny dojrzeć nowych horyzontów, kiedy nasz handel zakrzepły w rozpaczliwej wprost rutynie nie dadzą się skłonić do pracy w tym kierunku, przekładając jałowe utyskiwania i szukania przyczyn swego niepowodzenia wszędzie, tylko nie tam, gdzie ich szukać należy.

Niewątpliwie znaczną rolę odgrywa tutaj nieznajomość całej tak zawiłej sprawy, brak odpowiednich informacyj i wiadomości, brak instrukcyj, podniety i zachęty. Może ten tak charakterystyczny dla naszych stosunków moment bezwładności dałby się ostatecznie pokonać, gdyby znalazło się liczniejsze grono śmiałych pionierów, którzy wskazaliby drogę nieufnym i ociężałym. Być może, ale właśnie „Towarzystwo Popierania Polskiej Ekspansji Zamorskiej" ma na celu uczynienie tego wszystkiego, celem bowiem jego jest „dążenie do rozszerzenia ram życia gospodarczego Polski przez popieranie polskiego handlu światowego" (art. 4 Statutu). Jako instytucja społeczna, a nie zawodowa, Towarzystwo zakreśliło sobie specjalne środki realizacji swych zamierzeń i specjalną propagandę swych celów, wśród których, pomiędzy innemi, znajdą się: popieranie odpowiednich badań naukowych, wydawnictwa, organizowanie odczytów, wykładów, tworzenie bibljotek i archiwów, inicjowanie i popieranie wypraw, mających na celu odpowiednie studia ekonomiczne, organizowanie wystaw, ilustrujących produkcję kolonialną i handel światowy.

Że sprawa ta jest ściśle związana z naszem tak doniosłem zagadnieniem wychodźczem, to żadnej nie ulega wątpliwości, ale i to drugie zagadnienie również społeczeństwa polskiego nie interesuje tak, jak interesować powinno. Nasze względne przeludnienie i trwałe, choć malejące na razie, bezrobocie, domagają się szeroko pomyślanej polityki wychodźczej i zrozumienia tej sprawy ze strony jak najszerszych mas narodu. Do tej pory jednak sprawa ta jest ogółowi zupełnie prawie obojętna i wiele jeszcze wody upłynie nim nastąpi zrozumienie ciążących na nas w tym kierunku obowiązków. Tymczasem obce linje okrętowe wożą naszych tak licznych wychodźców, zarabiając kolosalne sumy, któreby w kraju pozostać mogły.

Ponieważ ta garstka ludzi, niezrażona jeszcze całkowicie bezskutecznością swych wysiłków, postanowiła dalej w tym samym kierunku pracować, przeto jest nadzieja, że, mimo naszą rozpaczliwą rutynę, i nasze zasklepienie, da się otworzyć oczy naszego handlu i przemysłu na znaczenie polskiej ekspansji zamorskiej, będącej zresztą kapitalnem zagadnieniem i z mocarstwowego punktu widzenia.

Należy wszakże spodziewać się, że równocześnie z rozwojem polskiej myśli państwowej rozwinie się także idea polskiej ekspansji zamorskiej, i że na następne zebranie tej tak potrzebnej instytucji, stawi się już znaczniejsza liczba ludzi nie tylko dobrej woli, ale i energji w dążeniu do osiągnięcia tak doniosłych celów statutowych Towarzystwa.

Wojciech Szukiewicz.

http://rcin.org.pl

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

• POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

SZTUKA A PAŃSTWO

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w państwach demokratycznych czynnik polityczny dominuje nad wszelkiemi innemi wartościami, że szefem opieki nad sztuką bywa zawsze minister oświaty, a to ministerstwo zawsze jest domeną polityki, to musimy przyznać, że opieka nad sztuką przechodzi w tych warunkach niezmiernie ciężką próbę.

Stwierdzając, że w ustroju demokratycznym państwo nie może objawić swej osobistej, a stojącej na wysokim poziomie artystycznym woli, postawiłbym tezę, że olbrzymia przewaga wysiłków państwa w tej dziedzinie powinna wyrazić się w szerzeniu sztuki wśród szerokich mas, a nie prawie wyłączne w popieraniu indywidualnych twórców. Jakkolwiek te dwie funkcje bardzo często w życiu się zazębiają, to o ile w czasach absolutyzmu popieranie sztuki przez popieranie indywidualnych twórców było słuszne z racji wysokiej kultury artystycznej ówczesnych władców i ciągłości ich władzy, o tyle w czasach demokratycznych szerzenie kultury artystycznej w szerokich masach stwarza znów dla artystów tak szerokie koła konsumentów sztuki, że troska o byt i warunki rozwoju poszczególnych artystów automatycznie się rozwiązuje. W zasadzie rozwój sztuki łączy się z twórczością wybitnych artystów i nieda się pomyśleć, aby można było krzewić sztukę, zakładając różne instytucje artystyczne, w których twórczy artysta byłby traktowany tylko jako środek do celu.

Jakiemi drogami może państwo szerzyć kulturę artystyczną w społeczeństwie.

Najelementarniejszy sposób krzewienia sztuki, to nauka rysunku, śpiewu i literatury w szkołach powszechnych i wszystkich ogólnokształcących. W zasadzie nauka ta jest wprowadzona do szkół, ale bywa ona podana przeważnie w sposób tak niewłaściwy, że często byłoby lepiej gdyby jej tam wcale nie było. Przyczyną tego jest niewątpliwy brak ukwalifikowanych nauczycieli, ale ten brak możnaby do pewnego stopnia uzupełnić przez wprowadzenie fachowych wizytatorów tych przedmiotów. Najważniejszą przyczyną złego stanu nauki tych przedmiotów jest zbyt teoretyczne ujmowanie ich przez nauczycieli, w tem ujęciu nauka rysunków staje się optyką lub geometrją, nauka muzyki — matematyką, a literatury —gramatyką, a nie tem, czem jedynie powinna być, to jest otwieraniem oczu i serc młodzieży na piękno przyrody i sztuki.

Innym środkiem szerzenia kultury artystycznej jest racjonalne kierownictwo szkół artystycznych. Pojęcie szkoły artystycznej jako hodowli przyszłych geniuszów, jest absurdem. Szkoły artystyczne mają zadanie nietylko dać przyszłym artystom poznanie gruntowne ich rzemiosła artystycznego i wpojenie w nich współczesnej kultury artystycznej, opartej na tradycji, ale mają spełnić wiele zadań praktycznych, jak przygotowanie nuczycieli z dziedziny sztuki i kierowników artystycznych różnych instytucyj przemysłowych i wydawniczych. Stąd też ustrój ich nie może być przystosowany do garści wybitnych indywidualności, ale dla ludzi utalentowanych, z których wielu w przyszłości może nie okaże silnej twórczej indywidualności, ale z korzyścią dla społeczeństwa współdziałać będzie w tworzeniu współczesnej kultury artystycznej. Tak było niejednokrotnie w przeszłości, znajdujemy tam szereg okresów wielkiego rozwoju sztuki, w których nie ujawniły się żadne wybitne jednostki twórcze, a nie mniej okresy te mają swój wielki wyraz artystyczny.

W związku ze szkołami artystycznemi pozostaje kwestja kształcenia się młodzieży artystycznej zagranicą. Dopóki nie mieliśmy niepodległości, szkoły nasze arystyczne, jak zresztą i wszystkie inne pozostawały pod mniej lub więcej silnym wpływem obcych kultur. W okresie tym znaczna większość naszej młodzieży artystycznej wyjeżdżała zagranicę, bądź dla uzupełnienia studjów, rozpoczętych w kraju, bądź też od samego początku studja te zagranicą odbywała. Rezultatem tego stanu było zbyt silne oddziaływanie kultur obcych na naszą szukę.

Każdy naród świadomy swej odrębności wytwarza sztukę o własnym wyrazie, a państwo powinno w tem tworzeniu sztuki narodowej pomagać.

Nie ulega chyba wątpliwości, że nie jest sprawą obojętną, czy młodzież artystyczna w okresie swej największej wrażliwości, kształci się w kraju czy zagranicą. Młodzież, która zbyt wcześnie wyjeżdża zagranicę, poddaje się zbyt silnym wpływom obcych kultur, staje się w rezultacie materiałem na trzeciorzędnych artystów francuskich czy niemieckich, a powróciwszy do kraju, patrzy na niego przez szkła obcej kultury. Taki system kształcenia się nie może wytworzyć nigdy sztuki o odrębnym wyrazie. Dlatego państwo rozdając stypendja zagraniczne, musi tu stosować pewną politykę, aby wysyłać młodzież dojrzałą o krystalizującej się indywidualności.

Innym środkiem szerzenia kultury artystycznej jest gromadzenie zbiorów państwowych, bibliotek artystycznych, zdobienie dziełami sztuki państwowych gmachów i urzędów. Na temat ten nie będę się rozwodził dłużej, gdyż będzie on omawiany szczegółowo w następnym wieczorze dyskusyjnym.

Poza szkołami artystycznemi, galerjami dzieł sztuki państwo może jeszcze oddziaływać na szerzenie kultury artystycznej, oddając artystom do dyspozycji budynki wystawowe, sale koncertowe i własne teatry. Pod tym względem jesteśmy w Polsce niepomiernie upośledzeni, nie mamy bowiem ani jednego państwowego gmachu wystawowego, ani

http://rcin.org.pl

jednego teatru i tylko jedyną salę koncertową. W dziedzinie plastyki stosunki pod tym względem są opłakane. Jedyny reprezentacyjny gmach wystawowy Tow. Zachęty Sztuk Pięknych spoczywa w rękach tak zwanych miłośników, którzy chcieliby kulturę artystyczną Warszawy przystosować do swego nader niskiego poziomu artystycznego.

Rezultatem tego stanu jest niezmiernie niski poziom wystaw w Zachęcie, które nietylko obniżają kulturę artystyczną stolicy, ale jeszcze fatalnie reprezentują naszą sztukę wobec cudzoziemców.

Na specjalną uwagę zasługuje kwestja pism artystycznych. Posiadanie własnych pism artystycznych jest dla każdego narodu sprawą pierwszorzędnej wagi i to zarówno dla sprawy wewnętrznej kultury artystycznej narodu, jak i dla jego prestiżu na zewnątrz.

Ilość jednostek interesujących się na tyle sztuką, aby prenumerować pisma artystyczne, jest niestety u nas tak nikła, że mowy niema, aby jakiekolwiek pismo artystyczne z prenumeraty i kolportażu mogło się utrzymać, podtrzymywanie bytu tych pism zapomocą subwencyj, jest bezwzględnym obowiązkiem państwa. Polityka rządu powinna pod tym względem iść w tym kierunku, aby nie dopuszczać do jednostronnego oświetlania naszej twórczości artystycznej, a dążyć do sprawiedliwej oceny wszystkich zjawisk artystycznych.

Obecnie chciałbym szerzej omówić sprawę organizacji tych urzędów, których zadaniem jest sztuką i kulturą się zajmować. Jak wiadomo, posiadamy w łonie Ministerstwa W. R. i O. P. departament sztuki, który pozostał jako organ szczątkowy po zredukowanem ministerstwie Sztuki i Kultury.

Deparament Sztuki jest jednym z sześciu departamentów Min. W. R. i O. P., budżet jego na rok bieżący wynosi 6,696,000, w stosunku do budżetu całego Ministerstwa, który wynosi 372,000,000 zł., stanowi jedną sześćdziesiątą. Stanowi on nikłą jednostkę organizacyjną, która w łonie samego ministerstwa nie posiada należytego prestiżu, należnego przedewszystkiem sztuce i roli jaką powinna odgrywać w życiu państwa.

Fakt, że na czele ministerstwa W. R. i O. P. stoją albo politycy (bo oświata w państwie demokratycznem jest domeną polityki), albo fachowcy z dziedziny pewnych ścisłych nauk, którym zawsze brak było szerokiego ujęcia zadań, których spełnienie przypadło im w udziale; fakt ten był przyczyną, że przy kilkunastu zmieniających się jak w kalejdoskopie ministrach W. R. i O. P., nie było ani jednego, któryby rolę sztuki w życiu państwa należycie oceniał. Sądzę przeto, że departament Sztuki nie powinien być częścią składową ministerstwa W. R. i O. P., tylko albo należy mu przywrócić dawny charakter ministerstwa, choćby zredukowany do podsekretarjatu stanu, albo utworzyć specjalny urząd przy Prezydjum Rady Minisrów z własną autonomją. Integralną i konieczną częścią tego urzędu czy ministerstwa, powinna być Rada Sztuki, złożona z przedstawicieli wszystkich działów sztuki, którąby była jego organem doradczym. Taka Rada Sztuki istnieje na papierze przy obecnym Departamencie Sztuki, tylko nie została ona ani ukonstytuowana, ani też zwoływana. Pretekstem nie zwoływania tej Rady jest rzekomo brak funduszów na diety i koszt podróży dla członków Rady, powoływanych z prowincji. Jest to oczywiście tylko pretekst, bo możnaby było albo zorganizować Radę z członków, mieszkających stale w Warszawie, albo do budżetu możnaby wstawić tę nędzną sumę, jakaby była potrzebna na przyjazdy jej członków z prowincji.

Reasumując to, co dotychczas powiedziałem, stawiam następujące punkty do dyskusji.

Państwo o ustroju demokratycznym najlepiej może sztukę rozwijać, krzewiąc kulturę artystyczną w szerokich masach i stwarzając w ten sposób olbrzymie masy konsumentów sztuki.

Środki wiodące do tego celu są następujące: Nauka rysunków, śpiewu i literatury pięknej w szkołach ogólnie kształcących, rozwój i zorganizowanie współpracy szkół artystycznych, organizowanie zbiorów państwowych, zdobienie dziełami sztuki gmachów państwowych, zakładanie bibljotek artystycznych, gmachów wystawowych, teatrów, ogłaszanie konkursów, rozdawanie nagród artystycznych, subwencjonowanie pism artystycznych. Wreszcie dla zapewnienia tradycji artystycznej ciągłości zorganizowanie Akademji Literatury i Sztuk Pięknych.

Środkiem do zasadniczego celu wiodącym jest również zreorganizowanie obecnego departamentu Sztuki i Kultury przez przywrócenie mu stanowiska Ministerstwa lub stworzenie odrębnego autonomicznego urzędu przy Prezydjum Rady Ministrów. Ukonstytuowanie państwowej Rady Sztuki i podniesienie sum przeznaczonych na popieranie Sztuki przynajmniej do wysokości 1 proc. budżetu państwowego.

Zrealizowanie tych wszystkich postulatów może nastąpić jednak dopiero wtedy, gdy nasi mężowie stanu przestaną traktować sztukę jako luksus, na który państwo będzie mogło pozwolić sobie dopiero wówczas gdy zaspokoi rzekomo najważniejsze sprawy ekonomiczne i polityczne. W rozumowaniu tem tkwi oczywisty fałsz z którego nie zdają sobie sprawy ci rzekomo tak realni i praktyczni ludzie. Gdy popatrzymy na rozwój ludzkości ze stanowiska historji zauważymy, że niema epoki, niema plemienia czy narodu, któryby bez sztuki mógł się obejść.

Najstarsze ślady człowieka, które archeologowie obliczają na 50.000 lat przed Chr., to wspaniałe rysunki zwierząt w jaskiniach Altamizy. Bez sztuki nie może się obejść zarówno Eskimos śród Bieguna Północnego żyjący w 50° mrozie, ani żadne z plemion murzyńskich w najbardziej zapadłym kącie podzwrotnikowej dżungli. Czy wobec tak oczywistej nierozerwalności sztuki od człowieka, można twierdzić w Polsce, że państwo może odłożyć krzewienie sztuki na czas późniejszy?

Ci ludzie trzeźwi i praktyczni nie zdają sobie sprawy z tego że intensywnie pracować mogą tylko dzięki temu, że sztuka mimo ich świadomości wnika w ich dusze, odradza ich i czyni zdolnymi do dalszej pracy.

Wł. Skoczylas.

http://rcin.org.pl

NA MARGINESIE

Laureatem nagrody literackiej miasta Łodzi został Julian Tuwim. Wydatna akcja samorządów miast naszych sprowadza się więc obecnie, — prócz podjętej przez Wrszawę akcji emerytalnej dla wdów i sierot po pisarzach, — do następujących nagród, rozdzielonych już pisarzom: Warszawa przyznała ś. p. Wład. Mickiewiczowi, Wacławowi Sieroszewskiemu i Kaz. Przerwie Tetmajerowi. Poznań Romanowi Dmowskiemu, — w roku bieżącym przypuszczać chyba można iż nagrodę Poznania otrzyma Weyssenhof. Lwów odznaczył M. Rollego (kroniki historyczne) i poetę St. Rossowskiego, zmniejszając obecnie nagrodę z 10,000 do 5,000 złotych. Łódź w roku zeszłym odznaczyła Świętochowskiego, Sosnowiec, — Andrzeja Struga.

* * *

W ubiegłym tygodniu wystąpiła z dorocznem sprawozdaniem Sekcja Przekładów PEN-Klubu, pozostająca pod kierunkiem K. Wierzyńskiego. Ogólny bilans tej sekcji przedstawia się pokaźnie: Dzięki staraniom Sekcji wychodzi niebawem „Księga Ubogich" Kasprowicza (po rosyjsku) Kar-Chat Goetla (po francusku) antologja pisarzy polskich (po włosku — 21 nowel). W najbliższej przyszłości mają się ukazać dwa tomy po niemiecku. Dziesięć dzieł pozostaje w opracowaniu tłomaczów, o 17 polskich przekładów pertraktuje Sekcja z zagranicznemi wydawcami.

Równocześnie odbywa się wymiana propozycyj pomiędzy czterema wielkiemi firmami zagranicznemi o wielką kolekcję tłomaczeń z literatury polskiej.

* * *

Dnia 30 kwietnia odbyło się zebranie Związku Zawodowego Literatów Polskich na którem wybrano nowych członków zarządu (Nałkowska, Kozikowski, Pomirowski) i jeszcze raz dyskutowano nad sprawa utworzenia Akademji Literatury Polskiej, czy też Izby. Metody wyborcze „izbowców" przynoszą już doraźnie owoce. Powstaje „zwarty" obóz, odbywa się kuluarowe kaptowanie, głosy padają, jak na komendę. W powyższym układzie stosunków decyzje i uchwały są, oczywiście, wynikiem zwykłego treningu zgromadzeniowego danych obozów. Na razie pod ścisłem dowództwem Irzykowskiego trenuje się karnie grupa izbowców.

* * *

Wynik głosowania t. j. większość przeciw Akademji a za Izbą wytwarza przesilenie w zarządzie Związku, będącym za Akademją. Zarząd, o ile nie uzgodni swych poglądów z ogółem członków będzie się musiał chyba podać do dymisji, względnie zwoła jeszcze jedno walne zebranie. Rozstrzygnięcie zależne będzie znowu od treningu stron poszczególnych. Tak więc Związek wchodzi już w wielkie rozkosze walk parlamentarnych, na tle sprawy ściśle fachowej.

* * *

Można przypuszczać, że po ostatnim feljetonie Irzykowskiego p. t. „Akademja pod daszkiem Izby" ucichnie prawdopodobnie w Robotniku dyskusja na tematy społeczno-literackie. Dyskusja ta nie wiele chyba nauczyła chcących się oświecić towarzyszy. Dowiedzieli się oni jednak w każdym razie mnóstwo ciekawych rzeczy tak o pisarzach polskich (może i swego obozu?!) jak też o poziomie dyskutowania na tematy kulturalne. „Rządowy cycek", — przy którym wiszą pisarze, „wieprze na sadło", „kubły" oto najzwyklejsze kwiatki tonu „Robotnika" w tej dyskusji. Jeden z szermierzy posunął się aż tak daleko, (p. Miller) iż ukazał na starszych pisarzy, jako na tych, którzy związani handlowo z wielkiemi naszemi domami wydawniczemi zapędzają pracami swemi publiczność do lupanarów.

Jak dotąd nie ujawnił p. Miller nazwisk tych zaganiaczy. Zachodzi też pytanie, czy redakcja „Robotnika" zweryfikowała pod tym względem swych literatów? Wiadomo przecie, że i w obozie socjalistycznym znajdują się pisarze i to starsi i to o wielkich nazwiskach?!?

* * *

W ubiegłym tygodniu zebrała się poraz pierwszy w sezonie bieżącym t. zw. Rada Teatralna, w skład której wchodzą przedstawiciele miasta (Rady Miejskiej i Magistratu) oraz sfer artystycznych Warszawy. Z pośród krytyków zawezwani zostali do Rady Teatralnej Boy-Żeleński, S. Krzywoszewski, K. Makuszyński, prof. J. Ujejski i W. Zawistowski. Muzyków reprezentuje p. Rytel.

Jak widzimy skład rady jest nierównomierny, na sześciu literatów jeden tylko muzyk. Dlaczego pominięto tak świetnego znawcę i tak subtelnego krytyka jak K. Stromenger?

* * *

Marja Grossek-Korycka doczekała się nareszcie pierwszej trwałej oznaki pośmiertnego hołdu: Oto Tow. Wyd. Błuszcz wydało rozprawy znakomitej poetki pod zbiorowym tytułem Świat Kobiecy. Do książki tej wrócimy niebawem w obszernem sprawozdaniu, życząc na razie tak słusznej inicjatywie wydawniczej jaknajwiększego powodzenia wśród czytelników.

* * *

Koło Polonistów S. U. W-go przejawia w roku bieżącym ożywioną działalność. Po wieczorze, poświęconym pamięci St. Wyspiańskiego, następują (5.V i 12.V) dalsze wieczory autorskie poetów Skamandra. Słowo wstępne do tych audycyj wypowie znany krytyk L. Pomirowski.

JKB.

NAJWIĘKSZY WRÓG

La haine a des raisons que la raison ne comprend pas.

(transp. z Vauvenargues'a).

Z wydziału karnego do apelacji, stamtąd — do ministerstwa, potem — do sądu pokoju, stamtąd znów — do wydziału handlowego i t. d. bez końca dzień był pokratkowany jak księga buchalteryjna na różne czynności i zajęcia.

Felde, w braku innej posady, był kancelistą — dependentem u adwokata, i ten swój chwilowy zawód traktował jak zło konieczne. Zło, które pochłania mnóstwo czasu, przeszkadza w studjach, pożera wszystką energję.

http://rcin.org.pl

Największy ciężar swoich codziennych obowiązków dependenckich, hipotekę, Felde spychał zwykle na sam koniec dnia, gdzieś pod wieczór. Hipoteka pracowała dłużej niż inne urzędy — do szóstej — więc po załatwieniu wszystkich spraw po kancelariach sądowych Felde leciał, jak się sam ironicznie wyrażał, do tego „pałacu Belzebuba".

I już zdaleka, na sam widok ociężałego kolosa z żelbetonu — gmachu hipotecznego — zżymał się ze złości. Niechaj to wszyscy diabli, jeśli było na świecie coś bardziej obrzydliwego niż hipoteka!

Więc zaraz w pierwszych dniach swojej z nią znajomości (wkrótce po objęciu posady u adwokata) Felde przyrównał ją do starej ciotki lichwiarki, która dusi pieniądze i jest pokorna, przyjazna, przymilna dla bogatych, a uragliwa, zła, kosem okiem patrząca na ubogich. Stara ciotka lichwiarka!.. Ale potem, wprost nie starczyło na nią dość grubiańskiej obelgi. Była cioką — lichwiarką, studnią chciwości, bożnicą Mamony, pałacem Belzebuba!..

W jej zatęchłych komorach mrowiły się tuczne podjadki i skalotocze pieniądza, a jeszcze na samem dnie, w suterenach, obrał sobie mieszkanie dziwny wróg, szkaradny karaluch, mały szatan, chorowity woźny. Nieznośny zapach tego świata Belzebuba gorszy niźli zapach czarnej giełdy, przyprawiał Feldego o najsmutniejsze refleksje. Ale oprócz „zapachu" w przenośni hipoteka miała jeszcze swój prawdziwy zapach, który wywoływał w Feldem obrzydzenie.

Wystarczyło pchnąć drzwi do pierwszej sali na dole, żeby się o tem przekonać i cofnąć ze wstrętem. Gęsty odór zleżałych, brudnych i cuchnących ksiąg hipotecznych, zmieszany z fetorem jaki wnosili tutaj chłopi i żydzi, zionął z wnętrza, zagradzał drogę u samego progu. Jednak wkońcu trzeba było wejść do tych czeluści, ominąć stróżującego przy drzwiach wroga (siedział na krzesełku, nieruchomy, kwaśny, pełnił funkcje woźnego) i patrzeć na poniewierające się po biurkach, półkach, stołach, a często i po ziemi, księgi hipoteczne, i na gadatliwą ciżbę, i na niechętnych urzędników, i na wieniec głów, co, nachylone nad stołami dla publiczności, zaklinały tajemnicze moce w swoich księgach hipotecznych.

Brr! Cóż za towarzystwo! — otrząsał się Felde, zmierzając do pokoju sekretarza wydziału.

W hipotece, nawzajem, nie szanowali Feldego. Pewnie dlatego, że był ubogi i bez znaczenia. Dependent adwokacki?.. Wieczny student? Takie nic!...

To też miewał tutaj zwykle niemało kłopotu z załatwianiem spraw swojego chlebodawcy, bo urzędnicy przy lada okazji wyrządzali mu różne przykrości i szykany.

Spotykaliśmy się nieraz w tym „pałacu Belzebuba", i Felde zawsze użalał się przede mną na złośliwość urzędników hipotecznych. Użalał się a jednocześnie pienił z gniewu i nienawiści. — Niech pan nie myśli, że mi tak znów zależy na pieniądzach! Bynajmniej! Wiem, że jestem nędzarzem, i zostanę nim do końca życia!.. Ale kiedy patrzę na twarze tych kretynów, ogarnia mnie szewska pasja! Ten sekretarz, naprzykład! Ma więcej niż pan i wszyscy pańscy koledzy razem wzięci, chociaż nie kończył uniwersytetu! Bogacz, mówię panu!

Wymienił mi pocichu fantastyczną sumę miesięcznej pensji i ubocznych dochodów sekretarza.

— A jaki nieuprzejmy! Szczególnie, dla biednych chłopów, którzy tam otrzymali z działów po trzy lub cztery morgi schedy, albo dla wdów, co mają jakieś nędzne hipoteczki, albo dla mnie wreszcie!

Zaczem po kolei opowiadał mi o każdym z urzędników, wymieniając dokładnie wspaniałe pensje, jakie pobierali.

— Małpy zielone! Myśli pan może, że im zazdroszczę? Przeciwnie, gardzę nimi!

Jego szczupła twarz z zapadniętemi policzkami zwarła się w surowym gniewie. — Niech pan tylko pomyśli, co może zrobić z człowiekiem pieniądz? Niech im się pan tylko przyjrzy uważnie! Co za tępe, skamieniałe twarze, co? I jakie zezwierzęcenie! Aż przykro patrzeć!

Opowiadał mi jeszcze o nich ze wzrastającem uniesieniem, plącząc się w słowach, wiedziałem jednak dobrze, co ma na myśli.

Felde był dependentem adwokackim, a jednocześnie studjował w Szkole Nauk Politycznych na wydziale dyplomatycznym. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jaki cel mają właściwie jego studja. Dyplomacja?!?

Kiedyś doradzałem mu ostrożnie, żeby się raczej przeniósł na wydział administracyjny. Ale wówczas Felde zgorszył się srodze, i odtąd temperatura naszej znajomości spadła o kilka kresek. Nie poruszałem więc już nigdy drażliwego tematu, usprawiedliwiając mojego rozmówcę zupełnym brakiem realizmu życiowego.

— A to jest mój największy wróg! — wyznał mi raz Felde, wskazując na woźnego, co siedział przy drzwiach.

Tego już nie mogłem zrozumieć. Woźny był starym niedołęgą, z ogoloną głową i szarą jak popiół twarzą. Skurczony we dwoje, schorzały, w czarnym, wygniecionym mundurze dozorował przy wejściu, więcej dla parady niż dla pożytku. Zdawałoby się, że wystaczy dotknąć go palcem, a obróci się w proch jak zetlały zewłok. Na widok wchodzących interesantów krzywił się niechętnie, rozprostowywał nieznacznie gnuśne członki, poczem znowu wracał do dawnej, apatycznej pozycji.

Duszne i stęchłe powietrze sali hipotecznej z pewnością nie służyło temu człowiekowi. Spojrzałem pytająco na Feldego. — Nic nie rozumiem?

Nerwową, żółtą ręką przygładził zmierzwione włosy. — Panie, to jest stuprocentowe uosobienie chciwości ludzkiej! Okaz!..

Szarpnął mnie nagle za rękaw. — Niech pan tylko spojrzy! — Odwróciłem posłusznie głowę i zobaczyłem, jak woźny, przechylony niedołężnym tułowiem do rozmawiającej z nim kobiety, wyciągał drżącą, wymowną rękę niby żebrak, cały zapatrzony wyblakłemi oczyma w inną stronę, w przestrzeń.. — Udzielił jej informacji i za to, uważa pan!.. Felde zaniósł się krótkim, sarkastycznym śmiechem. — Rozumie pan teraz, co?... Zachmurzył się nagle i przez zaciśnięte zęby, szparą złowrogich, sinych ust syknął mściwie: — Mógłbym go zabić!... Słowo honoru, potrafiłbym go zabić, na zimno, z rozmysłem!... Tak mi gra na nerwach!...

http://rcin.org.pl

Spojrzałem, przerażony. Mizerna twarz Feldego stężała w chłodnem okrucieństwie i nienawiści. — Potrafiłbym go zabić za to, że niema w nim nic z człowieka! — powiedział, marszcząc groźnie brwi. — Co pan może o tem wiedzieć? — oponowałem. — Nie zna go pan przecie! — Wiem, z pewnością wiem! — upierał się przy swojem. Jakieś niezrozumiałe, wewnętrzne przeświadczenie dyktowało mu te słowa. — Zwierze!... — Mocno się pan wyraża! — Przepraszam, ale ja już tak!... — mówił bez skruchy, zatwardziały w swym gniewie. Doprawdy, nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Więc wyraziłem tylko zdziwienie, czemu właściwie jego nienawiść obraca się przeciwko temu, który zarabia najmniej ze wszystkich urzędników hipotecznych. Bo przecie wkońcu woźny nie był nababem, przeciwnie, był takim samym biedakiem jak Felde. Ale na to Felde nie umiał dać jasnej odpowiedzi. — Okaz!.. Stuprocentowe uosobienie chciwości!.. Zwierze!...

Nie znosił go, zresztą, nienawidził każdą żywą komórkę swojego ciała, i na tem koniec. No tak! Wobec takich argumentów wszelka dyskusja upadała.

Prawda, że Felde był kłębkiem nerwów, i kto wie, czy jego nieuzasadniona nienawiść nie miała źródeł w początkach neurastenji. Wiadomo, że człowiek wyczerpany nerwowo reaguje znacznie silniej na różne przykre zetknięcia z życiem. To też można sobie z łatwością wyobrazić, ile zdrowia kosztowało Feldego każde spotkanie ze śmiesznym, niedołężnym, urojonym wrogiem.

Felde był zresztą przekonany, że woźny żywi do niego równą nienawiść i pogardę, i ta wzajemna urojona złość rosła między Feldem a woźnym jak pokrzywy.

— Sekretarza jeszcze niema? — mówił Felde wyniośle, przechodząc obok swojego wroga.

— Niema!... niema! — odburknął woźny niechętnie, przecierając szara twarz ręką, przyzwyczajoną do brania napiwków. — Pisarz hipoteczny jest, ale sekretarza niema!

Zaczem pogrążył się w swój zwykły somnambuliczny stan odrętwienia. (Idjota!.. Wie dobrze, że on ma interes do sekretarza, więc mu na złość gada o pisarzu!..). Felde okrążył woźnego, przeszedł się kilka razy po sali, tam i zpowrotem, czekał na sekre-
parva sapientia regitur mundus!
jona rana.

Kopnął, porzuconą na ziemi księgę, — uosobienie przyziemnych dążeń i wysiłków ludzkich. Quam paroa sapientia regitur mundus!

Zatrzymał się, patrzał w okna, wysokie, okratowane. Czekał. Na sali zapalono światła, dochodziła szósta, sekretarz już chyba dzisiaj nie przyjdzie. Tylko największy wróg siedział wciąż przy drzwiach, i Felde, obrócony do niego plecami, czuł jednak za sobą najwyraźniej to chciwe, obmierzłe, głodne pieniędzy cielsko. Nic, tylko obrócić się i zdeptać jak ropuchę. Tedy obejrzał się w zamiarze przejścia obok woźnego jakby nigdy nic, odniechcenia, żeby mu się tylko lepiej przypatrzeć i najeść się nienawiścią do tego płaza.

W tej chwili woźny siedział znowu rozprostowany, skąpemi słowy objaśniał niemrawego chłopka.

Felde podszedł do rozmawiających, słuchał — Rejenci są na górze! Tu jest tylko pisarz hipoteczny i kancelarje! — mamrotał kwaśno wróg, wyciągał do chłopka rękę, drżącą, żółtą rękę trupa, cały zapatrzony wyblakłemi oczyma w inną stronę, w przestrzeń. Felde zżymnął się, otrząsnął z obrzydzeniem. (Rejenci są na górze!... Tu jest tylko pisarz hipoteczny!..) lubował się temi kwaśnemi słowami, które grały w uszach najsłodszą muzyką nienawiści, natrząsał się w duszy z płaza, a zarazem bronił przed niezdrową chęcią ucałowania tej żółtej, pomarszczonej ręki, albo zgoła przed zaciśnięciem własnych rąk dokoła miękkiej szyi wroga. Psiakrew!... Nie patrząc więcej, wyszedł prędko do sieni. Sekretarz już dzisiaj nie przyjdzie, dochodziła szósta, za kwadrans zamykają hipotekę. Felde zatrzymał się przy wejściu, otarł pot z czoła.

— Co robi właściwie ten stary woźny pod drzwiami, proszę szanownego pana?

Dozorujący przy szatni namyślał się przez chwilę. — Ten stary?... Co robi?.. Podaje herbatę. — A tak cały dzień śpi?... — Śpi albo i nie śpi!... Po zamknięciu znowu zamiata hipotekę!... Felde uśmiechnął się jadowicie. — Poprostu darmozjad, nie proszę pana?! Szatny patrzał szeroko rozwartemi oczyma, nie rozumiał. Felde wyszedł na ulicę. Niedołężna ręka wroga wysuwała się z każdym krokiem z za węgła, dopraszała o napiwek, drżąca, żółta, kacza łapa. (Rejenci są na górze, tu jest tylko pisarz!...). Felde zacisnął zęby. Nienawiść i oburzenie rozdzierały go jak konie, wlokące skazanego na rozdarcie. Głuchy i ślepy, zatrzymał się przez chwilę na ulicy, poczem, z opuszczoną głową, wracał prędko do hipoteki. Zelżyć, wypoliczkować, skopać jak psa tę szarą, obrzękłą mumję, wtłoczyć mu zpowrotem do gardła te obmierzłe słowa („rejenci są na górze"), żeby się niemi zadławił.

Gejzery oślepiającej białości wybuchały w oczach, zagradzały drogę: to obfity, gęsty śnieg leżał grubemi warstwami na chodniku i jezdni, prószył z białych nasypów na gzymsach i listwach kamienic. Kosooki księżyc wyświecał ów chłodny wdzięk zimy seledynowym blaskiem (rejenci są na górze...).

W przedsionku było pusto i głucho, wszyscy już wyszli, w szatni stały gołe szaragi. Felde uchylił ostrożnie, bez szmeru, drzwi do wnętrza, zajrzał przez szparę: wróg, obrócony tyłem, zamiatał salę; dokoła leżała martwa cisza... Tak, — zmiatał salę...

Kanalja!... (Wszystek srom ludzkości, wszystka nędza moralna świata, wszystko upodlenie wcieliło się w tę chorą, pokraczną kukłę!)

Felde wsunął się zwinnie jak ryś przez uchylone drzwi, dopadł bezszelestnie, na palcach, do kontaktu, wyłączył światło.

Srebrne ognie księżyca rzuciły się zaraz z okien, na trwogę, zagrodziły przejście, świetliste, kosmiczne semafory. Gdzieś w kącie podniósł się krótkotrwały alarm, powtórzony przez sąsiednie

http://rcin.org.pl

opustoszałe sale: wypuszczona z rąk szczotka, uderzając drzewem o poręcz krzeseł, potoczyła się na ziemię. Felde zaszedł wroga od tyłu, kołem, spadł mu znienacka na kark, jak sęp. Runęli obaj na ziemię, miękko, niczem oberwane z haków połcie mięsa. Napadnięty nie zdążył krzyknąć, i odwracając się tylko w niezdarnej obronie do napastnika, upadł nawznak. Felde klęczał mu na piersiach, rozjuszony, chciwemi rękoma znalazł zwietrzałą szyję, pełen wstrętu nurzał się w stęchłej woni potu i obrzydliwym odorze starości pokonanego wroga, co leżał pod nim jak płaz, wijąc się i sycząc... Rozkiełznana furja nienawiści trzęsła Feldem, mgła zasłaniała oczy, w rękach plątały się szmaty, bluza, rozchełstana koszula... Felde, och, Felde!... To zegar na wieży hipotecznej wydzwaniał siódmą, i wysokie dźwięki leciały z brzękiem jak pieniądze... Felde odjął spracowane ręce od swojej ofiary, jakaś obca siła ciągnęła ztyłu za włosy, odciągała od charczącego starca. W księżycowym blasku ramy okiennej poniewierała się bezwładna głowa wroga z wyrzuconym z ust językiem, z przymkniętemi oczyma... Ludzkość cała tym wyrzuconym na wierzch językiem błagała o litość i przebaczenie.

Felde, przerażony, rozejrzał się niespokojnie dokoła. Gniew i nienawiść wypaliły się, zgasły, i tylko pod czaszką dymił gryzący czad wstydu i grozy. Głupi!... W czem ci właściwie zawinił ten starzec?!... Felde nachylił się nad człowiekiem, nasłuchiwał... Woźny sapał ciężko, nie otwierając oczu. Felde otarł pot z czoła. Nasłuchiwał znowu. (Będzie żył!..) Tedy nie zwlócząc więcej, podniósł się z klęczek, zapiął palto, ścisnął teczkę pod pachą i z bolesnym grymasem dokoła ust wymknął się jak mysz, cichaczem z hipoteki na ulicę.

Władysław Rymkiewicz

BIBLJOFILSTWO TWÓRCZE

Przed rokiem „Głos Prawdy" sygnalizował pierwszy druk polonistów. Była to rzecz prof. Józefa Ujejskiego o Żeromskim p. t. „Ostatni Wajdelota". Duży sukces wydawniczy, zagrzał młode towarzystwo do dalszych wysiłków w służbie piękna książki. Jako rezultat leży przed nami tomik: „Rzymianie Wschodu", Juljusza Kadena-Bandrowskiego.

„Rzymianie Wschodu", biorąc formalnie, to tekst przemówienia, wygłoszonego przez Kadena-Bandrowskiego dnia 18 grudnia 1927 roku w Berlinie na zaproszenie niemieckiej Sekcji P. E. N.-Klubu. W treści swej, to zwarta próba syntezy ducha literatury polskiej, zwłaszcza nowszej, nie tej najnowszej, lecz wczorajszej, która weszła w krew i serce obecnego pokolenia.

Nie pierwsza to próba syntezy literatury naszej, o której Mickiewicz powiedział, że jest rozwinięciem i zastosowaniem dogmatu patrjotyzmu, o której Heine pisał: „...Herrliches muss in einer Literatur hervorblühen, wenn sie als eine Vaterlandssache betrachtet wird". Bezpośrednim poprzednikiem Kadena-Bandrowskiego w tem zamierzeniu był prof. Ignacy Chrzanowski, w wykładzie wstępnym „O literaturze polskiej", wygłoszonym o Uniwersytecie Jagiellońskim w 1910 r. O ileż jednak zadanie Kadena-Bandrowskiego było trudniejsze. Chodziło przecież nie tylko o wyłuskanie i plastyczne przedstawienie prawdy drżącej na dnie serca. Trzeba było pamiętać, że się mówi do obcych, do Niemców, że się mówi w roli oficjalnego reprezentanta.

Z bezmiarów literatury owych ostatnich na zachodzie, względnie pierwszych Rzymian na wschodzie, wydobył autor dwa słowa-symbole: „Ofiara i heroizm! Oto słowa zasadnicze, jedyne w piśmiennictwie polskiem, najpierwsze zawsze". I pokazuje nam autor jakie to następstwa pociągnęło za sobą takie, a nie inne nastawienie duszy polskiej, następstwa w piśmiennictwie narodu, odbywającego straż na rubieży dwóch światów. Zali subtelne, miłością wielką przepojone słowa syna narodu, który wierzył i zawsze wierzyć będzie, „iż żadna przemoc nie zniewoli ducha", przemówiły do obcego audytorjum?

U nas słowa Kadena znajdą oddźwięk stokrotny, bo skoro synteza funkcją wyobraźni, któż bardziej był powołany do syntetycznego ujęcia literatury, jeśli nie artysta słowa?

Nie będę się rozwodził nad bibljofilskimi walorami druku polonistów; ręczy za to officyna Łazarskiego, z której wyszedł. Na jedno wszakże wypada zwrócić uwagę. Oto mamy przed sobą szczęśliwe rozwiązanie, niepokonanego zdawałoby się problemu wydawniczego: skojarzenia treści wartościowej i nieprzemijającej z kształtem typograficznym, harmonijnie dostrojonym i dostojnym, przy cenie przystępnej, nieomal popularnej. Nie tylko w naszych stosunkach niezwykli wydawcy instynktownie wyczuli, iż nie młodych to rzecz zasklepiać się w bibljofilskim sybarytyźmie, stwarzać snobistyczne smakołyki dla garstki wybrańców. Zerwali tedy z szablonem wyłączności bibljofilskiej i zamierzyli rzecz mądrze pomyślaną i społecznie twórczą: popularyzację książki bibljofilskiej. Więcej takich książek, a któż weźmie do ręki owe pozornym szychem wabiące, w istocie jednak niechlujne, czcionkami polskiemi składane, z ducha jednak i kształtu obce książczyska?

Tadeusz Sterzyński.

DROBNA MUZA I „PRZEMYSŁY" BRAUNA*)

„Przemysły" Mieczysława Brauna, to jakby ów „bróg, ale co krok, to inszego zboża", a w dodatku nie zawsze własnego siewu. Dałoby się z tego tomiku wybrać coś w rodzaju antologji poetów Skamandra i innych, a tem samem uprościć zadanie amatorom wpływologicznych dociekań. Braun okazuje bowiem duże zdolności do świadomego, bądź nie-

*) Redakcja nie we wszystkich punktach zgadzając się z autorem, drukuje artykuł niniejszy jako dyskusyjny.

http://rcin.org.pl

świadomego przejmowania cudzych stylów. Jeśli chodzi o ten drugi rodzaj poetyckiej produkcji, to w „Przemysłach" mamy pod tym względem dużą rozmaitość: znajdziemy tam morfologię poetycką Tuwima, kontuszowy rozmach i nonszalancję filozoficzną Lechonia, dytyrambowy patos Słonimskiego, rewolucyjną skrzydlatość Broniewskiego, a z obcych, że wymienię Sergjusza Jesienina z jego „imażinistyczną" metaforą.

Możnaby też sporo powiedzieć o zakresie tematów, do których zdaje się mieć predylekcję M. Braun, a w szczególności tematów, które chętnie obejmuje się dzisiaj nazwą „kultu pracy". Ten „kult pracy" zakrawa mocno na snobizm trochę burżuazyjny, a trochę proletarjacki, ale jest to zdaje się dzisiejsza słabość „drobnej muzy co spija szklanki czarnej kawy", a słowem wgryzać się usiłuje w szlachetny i ciężki mozoł ludzkiej pracy. Inną znowuż słabością są wiersze o słowach. Braun, jak każdy współczesny i szanujący się poeta, uważa za stosowne kilka takich wierszy popełnić. Nie twierdzę, aby tę dziedzinę zostawić całkiem w monopolu Tuwima, ale wydaje mi się, że w sztuce, jak i w życiu: co za dużo, to niedobrze.

Kochamy bardzo Żeromskiego i poświęcamy mu piękne wiersze, ale za mało przejmujemy się tą serdeczną troską, jaka przebija z wynurzeń wielkiego pisarza i artysty, zawartych w jego książce „Snobizm i postęp". Prawdziwie czujący poeta będzie zawsze szukał słów, wyrażeń, formy dla tematów, które są jego prawdą. Dziś ten stosunek jest odwrócony. Ma się jakby gotowe słowa, wyrażenia, rymy i assonanse, a poszukuje się tylko tematów do ich ulokowania. Sprawia to wrażenie zabawy, której możnaby dać tytuł: słowa i rymy w poszukiwaniu wierszy. Powiedział wprawdzie Goethe: „Gebt ihr euch einmal für Poeten, so kommandiert die Poesie", ale tego komenderowania poezją nie należy pojmować zbyt przesadnie i ciasno, ani tembardziej uważać za cel sam w sobie.

Niewątpliwie znamienną i dodatnią cechą współczesnej poezji jest jej twórczy stosunek do słowa. Tą żywotnością językową trysła poezja Skamandra, a w szczególności świetny zaklinacz słów i szczery liryk-Tuwim. Znalazł on jakby swoją formułę magiczną, czy też dopracował się pewnego sposobu wyłuskiwania, czy zaklinania słów z rzeczy martwych i żywych; drobna muza zabardzo jednak i za łatwo ten tuwimowy sposób i genre eksploatuje zamiast szukać dróg własnych i szerszego oddechu.

Może jeszcze nigdy nie uprawiano w tym stopniu poetyckiej sztuki jako rzemiosła dla rzemiosła, jak się to dziś czyni. Nie jest to szczery, ani właściwy stosunek do poezji. Nie wystarczy tutaj kokietowanie Żeromskim, Mickiewiczem, Koźmianem, ani opisami krajobrazu polskiego, ani zachwytliwym kultem pracy, ani wszelaką choćby najlepiej stylizowną swojskością. Taką właśnie kokieterję uprawia i przyznać trzeba, że nie bez talentu, Mieczysław Braun. Podobna produkcja poetycka jest jednak tylko pasożytnictwem na rzeczach, które same w sobie są wzniosłe, piękne i prawdziwe.

W zbiorku M. Brauna znajdą się niewątpliwie wiersze samodzielne, często nawet sympatyczne, a przedewszystkiem t. zw. „dobre" wiersze, ale to laboratoryjne preparowanie „dobrych" wierszy zaczyna już poważnie męczyć i nudzić. W tej, zdawałoby się, upajającej się życiem poezji, niema poprostu głębszego oddechu, albo wogóle jest za mało... poezji. Wrażenie tego niedostatku wiąże się z symptomatycznym dla pewnego koła młodych i skądinąd uzdolnionych poetów — brakiem indywidualnego stylu. Trudno byłoby np. odpowiedzieć na pytanie, czem różni się dobry wiersz Mieczysława Brauna od dobrego wiersza Romana Kołonieckiego, Stefana Napierskiego, Anatola Sterna, czy niejednego z wielu poetów, należących do niejako reprezentatywnego odłamu współczesnej poezji polskiej, a raczej po polsku pisanej.

J. Simmel, autor „Filozofji pieniądza" powiada o współczesnej epoce, tej epoce, która wytworzywszy nową i wspaniałą cywilizację nie stworzyła jeszcze własnej kultury — iż cechuje ją charakterystyczne wyrastanie środków ponad cele. Ponieważ żyjemy w epoce szczytowego, jak się zdaje, rozwoju kapitalizmu, nie potrzeba dodawać, że do środków najbardziej decydujących i najbardziej przesłaniających duchowe cele jednostek i narodów, należy pieniądz, będący uosobieniem materjalizmu, a urastający do najkapitalniejszego symbolu środka, jako takiego. Głębokie spostrzeżenie Simmla, dotyczące kultury wogóle, możemy transponować na dziedzinę dzisiejszej naszej poezji, którą również wybitnie charakteryzuje ów przerost środków nad celami, co objawia się w swoistym materjalizmie słowa, które przecież jest tylko poetyckim środkiem.

I może właśnie dlatego dzisiejsza poezja jest tak wyjątkowo licznie reprezentwana przez tych których niejako częścią struktury rasowej jest to, co stanowi treść owej formuły Simmla.

To oni właśnie, którzy w wyniku swoich przygód dziejowych, zatracili odczucie i potrzebe odleglejszych metafizycznych celów, stali się jednocześnie bezkonkurencyjnymi mistrzami we władaniu najrealniejszym, a zarazem najbardziej symbolicznym środkiem materjalnego życia i uczynili zeń cel sam w sobie. Jeżeli teraz po przez ten wybitny rys ich struktury rasowej wejrzymy w pewien odłam współczesnej naszej poezji, stanie się jasnem, skąd pochodzi ów charakterystyczny dla niej niedostatek perspektyw duchowych przy równoczesnem mistrzowstwie w posługiwaniu się poetyckim środkiem — słowem. Jeśli zaś w tem socjologicznem zjawisku zachodzą pewne wyjątki, to w każdym razie ilościowo nie pokrywają się one z liczbą poetów uprawiających poezję po polsku.

Marjan Toporowski.

http://rcin.org.pl

O REHABILITACJĘ TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ KAJETANA KOŹMIANA

Zahukany tupetem młodych romantyków i ostatecznie przybity w późniejszej opinji publicznej jednem ironicznem zdaniem Mickiewicza, przeszedł Kajetan Koźmian do literatury w formie zasuszonej mumji. Z bibljotek pyłem lat przypruszonych, nie zdołała go wydźwignąć na światło dzienne żadna siła ludzka. Ani prace Morawskiego (Życie K. Koźmiana, Poznań, 1856), ani Wojciechowskiego (K. Koźmiana życie i dzieła, Lwów, 1897), ani kilka zresztą nielicznych artykułów, rozrzuconych w prasie polskiej z drugiej połowy XIXw. nie wydźwignęły K. Koźmiana z szarego cienia nieproszonych intruzów literackich na piedestał wiecznie żywej poezji.

Dzisiaj więc wreszcie należy Koźmiana wydobyć z morza bezwzględnego milczenia i oddać mu należy hołd.

Żyjemy, niestety jednak, ciągle jeszcze w dobie romantycznego myślenia i w kategorjach autorytetów narzuconych nam przez oficjalną historję literatury — niezdającej sobie najczęściej sprawy z najświeższych wymagań artystycznych. Wciąż jeszcze śpiewamy hymny pochwalne na cześć kiepskiej wierszowanej liryki Krasińskiego, grafomańskich elukubracji Stefana Garczyńskiego i w pokorze ducha korzymy się przed nieprzemyślaną i źle wykonaną epiką Seweryna Goszczyńskiego. Ciągle jeszczee ciąży na naszej umysłowości rodzimej XX w. fałszywie pojmowana tradycja muzealnych, a problematycznych wartości artystycznych.

Tymczasem świetna epoka t. zw. klasycyzmu warszawskiego pozostaje nadal dla naszego społeczeństwa „ziemią obiecaną", a Koźmian — kartą literatury wyrzuconą poza nawias wszelkiego artyzmu. Nikt nie raczył się dotychczas pokusić o przeprowadzenie rzetelnej, racjonalnej rewizji romantycznych poglądów na twórczość Koźmiana. Dotychczas ciągle jeszcze patrzymy (po 130 latach ewolucji naszej krytyki literackiej) na literacką działalność jego przez skośno ustawione szkła uprzedzonych romantyków. O klasycyzmie warszawskim nadal jeszcze myślimy kategorjami XIX wieku!

Śmiało więc należy dziś zerwać z tą samoniewolą i głośno stwierdzić fakt:

że Kajetan Koźmian, czołowy przedstawiciel klasyków warszawskich i autor „Ziemiaństwa", jest jednym z najświetniejszych poetów polskich w w. XIX,

że Koźmian jest pierwszym poetą polskim, opiewającym świadomie w artystycznej formie — mozolną, żmudną twórczą pracę, wyniesioną na piedestał idei.

Świetny język „Ziemiaństwa", niepokalana budowa zdania, nowoczesne wprost metafory i głębokie ukochanie sumiennej pracy — silnie przemawiają za wieczną aktualnością poezji Koźmiana. Pracował Koźmian nad „Ziemiaństwem" lat 25, wychodząc z słusznego założenia, że „poważnej klasyczności nie przystoi galopować". Cyzelował, poprawiał, wygłaszał rzeźbiąc powoli w ciężkim trudzie tworzenia swój poemat. I właśnie ta imponująca rzetelność wykonania i głęboka powaga z jaką zbliżał się Koźmian do opracowywania tematu— są niezniszczalnym pomnikiem jego przyszłej sławy. Połączył Koźmian w swej twórczości „ziemiańskiej", fachową znajomość tematu (będącą podstawą każdej uczciwej pracy poetyckiej), z matematyczną ścisłością opisu. Konkretność artystycznego myślenia stopił w jedną nierozerwalną całość z konkretnością wykonania. Posiada Koźmian jeden zasadniczy dar „poetyckiego na świat spojrzenia" (termin A. Małeckiego). I dlatego właśnie każde słowo Koźmiana, każde zdanie jego, chociaż niekiedy tylko przemyślane, a nie przeżyte, posiada swoistą poetycką głębię. (Człowiek bez poetyckiego na świat spojrzenia nie może być poetą, podobnie jak nie może być sygnalizatorem okrętowym — daltonista). Dalszą walną zaletą talentu Koźmiana jest umiar słowa, czyli ekonomja wyrazu i plastyczna wizja tematu. Dlatego Koźmian zawsze wie, co chce i jak chce powiedzieć. Nigdy więc nie wpada w hypertrofję słowa. Umie utrzymać doskonałą równowagę pomiędzy tematem a słowem.

Uświadomił sobie Koźmian wielką dążność artystyczną, którą dzisiaj nazwałbym uświadomieniem artystycznej **fotogeniczności surowca poetyckiego.** Rozumie więc Koźmian,

że każda rzecz, znajdująca się w naszej świadomości, a więc tem samem oddziaływująca na naszą wrażliwość, nadaje się do twórczych artystycznych koncepcyj,

że może więc opiewać prawdziwy poeta gnój i może również śpiewać hymn pochwalny na cześć wielkiego bohatera.

Śpiewał więc Koźmian pieśń na cześć Napoleona i Czarnieckiego i równocześnie wielbił świętą wydajność gnojnej ziemi. Umiał ocenić potęgę genjuszu objawiającą się, tak w wielkim czynie dziejowym, jak i w cichej, pokornej pracy rolnika.

Chwała poecie, co w cichym trudzie codziennym ludzi wielkość świata odnalazł.

Roman Brandstaetter.

POLONICA ANGIELSKIE

Literat obcy o nazwisku — Gielgud.

Tematem powieści, której tytuł w amerykańskiem wydaniu brzmi: „Old Swords", a w brytańskiem: „Black gallantry" jest historja rodziny polskiej, w której żyją tradycje walki orężnej o niepodległość. Rozpoczyna się powieść sceną z powstania 63 r.: w starym zamku polskim ginie z rąk Moskali Stanisław Konski. Syn jego podrasta w Rosji, córka — w Anglji. Dzieci ich, a więc kuzyni, spotykają się w Warszawie w 1920 roku.

Autorem powieści jest Val Gielgud.

Nazwisko o takiem brzmieniu daje wiele do myślenia. Może istotnie jakieś tradycje rodzinne podyktowały wybór terenu polskiego dla powieści, która spotkała się już z przychylną oceną na łamach „Times'a"? Czy chodzi tylko o teren egzotyczny w rodzaju Chin?

Może autor sam zechce to wyjaśnić!

http://rcin.org.pl

Polonica w „The Slavonie Reviev“.

Ostatni zeszyt angielskiego przeglądu naukowego, poświęconego, jak głosi podtytuł: „historji, ekonomice, lingwistyce i literturze narodów słowiańskich", na 240 stron, zawiera poświęconych Polsce zaledwie... 13. Rozprawa dr J. Krzyżanowskiego: „Mickiewicz and Pushkin", wygłoszona jako odczyt na zebraniu Angielsko-Rosyjskiego Towarzystwa Literackiego w Londynie, oraz recenzję książki M. Gardner „The Patriot Novelist of Poland: H. Sienkiewicz", pióra prof. R. Dybowskiego — to wszystko, co Polskę przypomina Anglikowi-czytelnikowi „Slavonie Review".

Górują w angielskim przeglądzie słowiańskim Rosjanie. Artykuły Milukowa, Łobanowa-Rostowskiego, Szulgina przodują na wstępie. Znany historyk i polityk rosyjski pisze o nowej polityce słowiańskiej. Polemizuje z prof. J. Baudouin de Courtenay i A. Lednickim, lecz pomija zupełnem milczeniem polską literaturę polityczną w tej sprawie, zadawalając się wyłącznie opinjami Benesza i Kramarza.

Marcowy zeszyt wspomnianego przeglądu ma tytuł nieco zmieniony: „The Slavonie and East European Review". Będą więc artykuły i materjały — o Albanji, Rumunji, Karelji, państwach bałtyckich, a udział Polski jeszcze więcej zredukowany.

Czyżby nie czas pomyśleć i tu w kraju, i w Londynie, i w Ameryce Północnej o jakimś samodzielnym roczniku czy półroczniku naukowym i literackim, oświetlającym nieco inaczej Polskę i jej kulturę w oczach wszystkich, dla których język angielski jest ojczystym?

Anglik o dziejach książki polskiej.

Zwięzła zbiorowa „Historja sztuki drukarskiej", wydana w Londynie staraniem R. A. Pedolie, przynosi miłą niespodziankę bibliofilom i miłośnikom historji polskiej poważnem uwzględnieniem dziejów drukarstwa w Polsce. Autorem rodziału p. t. „Eastern Europe and Slavonie Countries“ jest L. C. Wharton, bibliotekarz, kierownik działu słowiańskiego w British Museum, autorytet w tej dziedzinie wśród Anglików. Polsce poświęcił najdłuższy ustęp, traktując pobieżniej inne kraje. I zupełnie słusznie, gdyż drukarnie w XVI—XVIII w. na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej wyprodukowały najdawniejsze i najciekawsze druki słowiańskie. Pierwszy druk rosyjski ukazał się w r. 1564, pierwszy druk w Polsce pochodzi z r. 1474. Prawie stulecie dzieli zaranie drukarstwa w Polsce i w Rosji.

Ze wszystkich krajów słowiańskich Polska jedynie posiada najdłuższą i niezahamowaną w normalnym rozwoju tradycję drukarską. Uwypuklenie tego jest stwierdzeniem jedynie prawdy historycznej.

Z BIBLJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

DO SWEJ KSIĄŻKI

Na Wertumna[1]), książeczko, wciąż zerkasz i Jana,
By się sprzedać, Sozjuszów[2]) sztuką wymuskana:
Zbrzydła ci cnocie miła, zamknięta komnata,
Chcesz się tłumom pokazać i tęsknisz do świata?
Nie na toś ty chowana: nie chodź tam, ma rada,
Skąd już niema powrotu. — „O, biada mi, biada!
O, jakiż zawód!" — rzeczesz, kiedy wnet ostygnie
Wielbiciel, zwinie w trąbkę, jeszcze jadem rzygnie.
Jeśli, na cię oburzon, wróżbit[3]) się nie myli,
Rzymu będziesz pieszczochą — przez chwilę, po chwili
Zmierzniesz, cała zbrukana przez pospólstwa kciuki;
Potem mole, niemowa, pożywisz, nieuki,
Lub cię w pętach Herda ujrzy lub Utyka.
„Dobrze ci tak!" wybuchnę przykładem złośnika,
Co to w przepaść krnąbrnego zepchnął kłapoucha;
Bo któżby dobrze życzył temu, kto nie słucha?
Abecadła uczącą może młodą narość
Na przedmieściu zaskoczy szepleniąca starość;
Zwabionej miłym chłódkiem wieczornym czeredzie
Powiesz, żem wyzwoleńca syn, urodzon w biedzie,
Że gniazdo moje niskie, górne zato loty.
Tak ród mój pomniejszając, rozdymaj przymioty.
Wielcy Rzymu uznaniem darzyli mię stałem;
Mały wzrostem, szpak wczesny, rad w słońcu się grzałem,
Gorączka, lecz mię łatwo było ułagodzić.
A zechce kto z słuchaczy i wieku dochodzić:
Czterdziesty czwarty właśnie grudzień mi dobiega,
W którym Lepida Lolljusz[4]) przywezwał kolega.

(Karacy, Listy I, 20;)
przeł. *J. Czubek.*

DO SWEJ KSIĄŻKI

Komuż poświęcę tę książeczkę nową
Z gładziutkim brzegiem i w świeżej oprawie?
Tobie Korneljusz[5]), coś pochwalne słowo
Dla moich fraszek miał zawsze łaskawie
Już wtenczas, kiedyś nam dzieje minione
Pierwszy z Italów przelał na trzy karty,
Karty — na bogi! ciężkie i uczone;
Więc przyjm ode mnie te figle i żarty.
Ty, boska Dziewo, nie poskąp opieki,
Spraw, niech je przyszłe oglądają wieki.

(Katullus, Poezje I)
przeł. *J. Czubek.*

OGŁOSZENIE

Chceszli mię czytelniku, mieć zawsze przy boku,
Chcesz, bym ci towarzyszył w podróżnym tłómoku,
Kup mię, w pergaminową strojnego koszulę:
W dłoni się zmieszczę; wielki niech siedzi w szkatule.
Abyś jednak po Rzymie nie błąkał się marnie,
W której mię możesz dostać, wymienię księgarnię:
Wiesz, gdzie forum Minerwy i Pokoju strony?
Tam księgarz, co go Luceros wyzwolił uczony.

(Marcjalis, Epigramaty I, 2;)
przeł. *J. Czubek.*

ZASŁUGA KSIĘGARZA

Pisałem w młodym wieku, nawet chłopcem baje;
Dziś z tych śmieci ni części sam już nie poznaję.
Jeśli dobre godziny na złe chcesz obrócić,

---

[1]) Bóg wszelkich zmian, a więc kupna i sprzedaży.
[2]) Słynni księgarze w Rzymie.
[3]) Autor.
[4]) Konsulowie.
[5]) Cornelius Nepos.

http://rcin.org.pl

Jeśli czas, czytelniku, chcesz zabić lub skrócić,
Kup je u Walerjusa Kwinta Polliona:
Że me bzdurstwa nie giną, w nim jedna obrona.

Tamże I, 113;)

OBAWA WZAJEMNOŚCI

— Czemu ci ksiąg swych nie ślę? — Zabawne pytanie:
A nużbyś ty mi swoje przysłał, Pontyljanie!
(Tamże VII, 3)

EXPLICIT

Hola, stój książko! Wyprzęgać już pora:
Tuż, tuż przed nami drążek i zapora.
Ty się rwiesz naprzód i pełna podniety,
Stanąć się wzbraniasz u kresowej mety,
W dal gdzieś nieznaną wyciągając dłonie —
Ach, cel na pierwszej osięgłaś już stronie.
Więc stań i kres już raz połóż podróży;
Patrz, już czytelnik łaskawy się nuży
I przepisywacz też woła gdzieś z boku:
Hola, książczyno! Koniec, ani kroku!

(Tamże IV, 89).

Wybrał *Este*.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Spojrzenie. Ołówek: Są to dość przedmiotowe konstatacje pańskich doznań, wyrażone jednak — niestety — bardzo ubogo. Nie rozwinięte w żadną formę. Ani proza, ani poezja.

Alfred Lut. Kraków: Rząd robi istotnie niewiele dla literatury. Cieszy nas, że naogół jest Pan naszego zdania. Głosu pańskiego w dyskusji obecnej nie wydrukujemy. W tym wypadku bowiem musielibyśmy wydać parę numerów samej dyskusji. Cóżby na to powiedzieli nasi czytelnicy?!

Kruk, W-wa: Wiersz pański podobał się nam szczerze. Nie wydrukujemy go, gdyż jako pismo codzienne nie możemy szerzyć tak brutalnych akcentów poetyckich, jakiemi Pan się posługuje. Prosimy o inne próby, może bardziej łagodne z punktu widzenia społecznej treści utworu?

J. W-na: Niechże Pan pisze do red. XX wieku. Nie odpowiadamy na napaści, prowadzone poniżej poziomu literackiej przyzwoitości. Wymyślania, brutalne kpiny i t. p. uwłaczają przedewszystkiem temu, który używa tej broni.

Przekład A. Gide'a, Łódź: Przekład poprawny, ale niestety, nic więcej. Winien być „kongenjalny". Ludziom się zdaje, że gdy wydobędą z obcego pisarza jaką taką składnię polską, to już przełożyli. Ależ to trzeba przełożyć, by miało ten sam charakter w polskiem, jaki ma we francuskiem!

Cracoviensis: Odpowiedzieliśmy już Panu. Nadesłane impresje są zbyt słabe, by je drukować. Wogóle nie warto zaprzątać pióra t. zw. imspresjami. Radzimy zabrać się do porządnej określonej roboty. Niech to ma formę skomponowaną, określoną treść it. d.

Hugo K. Łódź: Misterjum pańskie otrzymaliśmy. Daruje Pan, że odpowiemy nieco później. Wysadził Pan całe dzieło i to w dodatku jeszcze z muzyką. Prosimy o parę dni zwłoki.

Tad. Goł.: Na nic, — na nic, — na nic! Nie może Pan przecież zaczynać od wierszy, które już sto lat temu trąciły zapachem starzyzny. To tak, jakby dziś w czasie aeroplanów zaczynał ktoś z triumfem jazdę kolejką podmiejską!

L. B. W-wa: Dziękujemy Szanownemu Koledze za cenne uwagi. Są słuszne. Dziękujemy za tak miłą pamięć!

Marjan A.: Ależ Panowie, Panowie — idzie tak piękna wiosna, tak prosta, tak szczera, tak zrozumiała dla ludzi umiejących czuć — tymczasem wypisujecie o jakichś kanconach, mandolinach i t. p. Trzeba coś zrobić przeciw temu ślepemu kultowi zamierzchłej starzyzny: Otóż zwracamy uwagę, że mandolina jest dziś instrumentem trzeciorzędnym, że nigdy nie mogła równać się ze skrzypcami!

Edward G. Dubno: „Bieg" jest wierszem nieudałym. Nie osiągnął tu pan ani wzrastania rytmu, ani wzmagania się całości utworu. Drugi wiersz znacznie lepszy. Trzeba jednak koniecznie zarzucić te puste, jałowe komunały „grom w spokojny dom" i t. p. Ideologja wiersza nb. tak ważna, nie może poruszać się w pustce nic nie znaczących słów. Prosimy o inne próby.

St. Sier. Wilno: Mamy wrażenie, iż jedyny dobry wiersz pański, to ten, który drukowaliśmy zeszłego roku. Nie można przecie pisać wierszy jedynie dlatego, że coś chcemy napisać. Coś, to przecie nic jeszcze. Chyba trzeba wiedzieć, co się chce pisać.

Aleks. Dal. W-wa: Ale — nie pisać! Nie brać pióra do ręki, prócz w celach ściśle praktycznych. Nie ma krzty talentu.

Juljusz W. Kraków: Prozę przeczytamy później i odpowiemy. Wiersz niemożliwy, niedobry, fatalny, nieszczęśliwy. Tem gorszy, że posiada Pan przecie technikę pisania. A więc — nie niezręczność nowicjusza, lecz fatalne, złe chwyty zmanierowanego wierszokléty! Mówiliśmy już Panu tyle razy: Nie brać się do poezji, nad prozą pracować.

Józef M. K.: Niema sensu! Niech Pan nic nie pisze do żadnych „twórców", niech Pan nie procesuje się z ludźmi i rzeczami nie mającymi do Pana żadnej pretensji. Jeżeli Pan pragnie pisać, to proszę komponować utwory literackie. Epistoły i manifesty do narodu są w tym wypadku jałowe!

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22

Przesyłka pocz. opłacona ryczałtem

akc. 330/610

http://rcin.org.pl